

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Do powieści: Róża bez kolców.



Widok z chaty Ślimaka na Giewont przed wichrem halnym.

NIEZABUDKI.

(Legenda).

Kiedy już Chrystus z domowej zagrody
Szedł uczyć ludzi miłości i wiary
I zsyłać chwile ciszy i ochłody,
I serc błądzących mrok rozświecić, szary,
Pożegnał czule swoją świętą Matkę
I Opiekuna i opuścił chatkę.

Ale Maryja łzami rosząc lica,
Jeszcze go wiodła drogą ponad strugą,
I gdy w jej sercu wzbierała tęsknica,
Szeptając, płacząc: „nie zapomnij długo!
A kędy padła łza tej świętej Matki,
Tam niezabudek wyrastały kwiatki.

I do tej pory nad wodą się wiją
I są zadatkami wieczystej pamięci,
Bo Chrystus myślą wciąż gościł z Maryją,
I nie zapomniał i wciąż kochał święciej.
Więc są stałości znakiem niezabudki,
Każdy z nas kocha ich błękit błędiutki.

W. Z.

Park Jordana.

(list z Krakowa)

Kochana Zosiu!

Dziwisz się, że chociaż od miesiąca jestem w Krakowie nic dotąd nie pisałam; masz rację, powinna byłam dawno do ciebie napisać, ale widzisz, chciałam ci coś zajmującego donieść, a ty jak na złość znasz Kraków doskonale! To też, gdy wczoraj ciocia Mania zaproponowała mi spacer do parku Jordana, pierwszą moją myślą było: „Chwała Bogu! przecież mam temat do listu! Zosia była w Krakowie późną jesienią, więc parku nie zna!”

Musiałaś już słyszeć o parku Jordana, bo któż o tem nie słyszał. Nawet cudzoziemcy, zwykle tak niewiele interesujący się nami, przyjeżdżają oglądać urządzenia parku, aby potem podobne zakładać u siebie. I kto wie czy z czasem „parki Jordana” nie rozpowszechnią się po całym świecie, roznosząc, wszędzie sławę swego założyciela, podobnie jak ogródki Frebłowskie.

Dr. Jordan jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po śmierci synka jedynaka poświęcił swe życie dla dobra obcej dziatwy. Stara się więc rozwinąć w niej zdrowie i siły, bo przecież mówią, że w zdrowem ciele, zdrowa dusza. I posłuchaj tylko, jak wywiązuje się z tego zadania.

Zakupił na Błoniach (są to obszerne pola za Krakowem) plac, na którym przed kilkunastu laty była wystawa krajowa i tam założył w r. 1888 park, przeznaczając go na ćwiczenia gimnastyczne dla dzieci. Ciocia mówi, że ze dwa tysiące dzieci, a może i więcej używa tu w letniej porze zdrowego ruchu i świeżego powietrza. Są tam chłopcy i dziewczynki, bogaci i biedni, małe dzieci ze szkół ludowych, z miejskich początkowych i z gimnazjów. Nie masz pojęcia jak to miło widzieć maszerujące oddziały, śpiewające różne pieśni niezbyt melodyjnie, ale jak ochoczo! Pomyśl tylko, co to za dobrodziejstwo, te kilka godzin spędzonych za miastem, wśród zieloności, przy wesołej zabawie dla setek dzieci, które resztą dni całe spędzają w ciasnynach, ciemnych, wilgotnych mieszkaniach. To też już zdaleka słychać wesoły gwar młodych głosów; — „boiska,” roją się od młodzieży, najwięcej widać mundurków gimnazjalnych.

Oddziałami dowodzą nauczyciele; są to studenci uniwersytetu lub wyższych klas gimnazjalnych, niektórzy mało co starsi od uczniów, mimo to, i mimo wesołej, swobodnej, zabawy, wszędzie panuje wzorowy porządek. Właśnie przechodzi oddział chłopców, ćwiczący się w maszerowaniu w takt, w ostatnim szeregu mały chłopiec trąbi, cały czerewon z wysiłku, ale oczy mu błyszczą radośnie i widać, że jest przejęty mocno ważnością swego urzędu. Inny oddział śpiewa śliczną piosenkę, a każdy z chłopców niesie kolorową chorągiewkę. Na jednym boisku chłopcy przeskakują sznur, drudzy dosiadają jednym skokiem wprawy na ognistego rumaka, ale drewnianego kozła. Gdzieś indziej znów huśtają się tak zrzecznie na trapezie, że mogliby się i w cyrku pokazywać! Najwięcej mnie zabawili chłopcy, zeskakujący z dość wysokiego daszku. Byli to uczniowie niższych klas gimnazjum, a że ziemię pokryto grubą warstwą mchu suchego, więc choć który upadł, to bez szwanku i robili sobie zabawę z upadania umyślnie, tembardziej, że przypatrujący się śmieli się z tego serdecznie. Prócz ćwiczeniom gimnastycznym, oddaje się też tu młodzież zabawom, więc grają w lawn-tennis, w krokiet, młodszy w piłkę; wielkie powodzenie ma foot-ball. Wiesz co to? To gra angielska, polegająca na podrzucaniu nogą dużej piłki. Dziewczynki wykonywują łatwiejsze ćwiczenia. Z zazdrością patrzyłam, jak kilka ująwszy sznur w ręce i odepchnąwszy się od ziemi bujało tak koło słupa. Nie tak to dawno jeszcze wspinało się po wszystkich drzewach i płotach, a dziś już nie wypada. Straszna to rzecz być podlotkiem; je-

dnego nie wypada, drugie nie bawi, a chociaż jaka dziecinna zabawa nęci, to trzeba udawać, że nie, bo inaczej któżby uwierzył, że się jest *prawie* dorosłą panną?

Ale i ja, a nawet ciocia Mania znalazłyśmy dla siebie zabawę. Bo trzeba ci wiedzieć, że ciocia, chociaż niby poważna i dorosła, lubi wszystkie dziecinne zabawy. Zaprowadziła mnie więc do labiryntu; jest to trawnik przetrzymany mnóstwem ścieżynek i dość długo można po nich błądzić, zanim się dojdzie do środka. Zaczęłyśmy się ścigać, której się pierwszej uda, (ciocia niby to poszła dla mojego towarzystwa) i wreszcie ja zwyciężyłam.

Zaprowadziła mnie też ciocia do koła otoczonego strzyżoną ścianą grabową, w której powycinano nisze, a w nich stoją popiersia zasłużonych mężów. Stąd rozchodzą się w trzy strony krótkie, również strzyżone szpalery, jeden z nich prowadzi do drugiego kółka, również ozdobionego posągami. Dzieci bawiące się w parku znają dzieje ludzi, których wizerunki tu się znajdują, a patrząc na nie codzień, uczą się ich czić i naśladować. Może przybędzie tu z czasem i pomnik prof. Jordana, ale najpiękniejszym jego pomnikiem pozostanie park, noszący jego imię.

Jeśli cię ten list nie znudził, a zobaczę jeszcze coś, coby warto opisać, napiszę znowu równie obszernie. A teraz całuję cię serdecznie

Tvoja
Ima.

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Walter Dowmond — przeczytała staruszka — to ktoś z naszych stron, z Litwy, tylko rzecz dziwna że ma takie cudzoziemskie imię.

— Bo to jest cudzoziemiec, guwerner małego hrabiego — odezwał się Jakób — ród jego widocznie z Litwy pochodzi, ale on sam zupełnym już jest Anglikiem, chociaż rozumie po polsku, bo był już raz w Zakopanem i trochę się nauczył.

— Proś — powiedziała staruszka.

Dowmond złożył babuni Kasi ukłon głęboki, i przywitawszy się ze znajomymi panami, zaczął od objaśnienia, że przychodzi do pani tego domu od sir Warburtona z pozdrowieniem i powinszowaniem, że dochowała się tak odważnego wnuka. A oprócz tego — tu zwrócił się w stronę Henryka — przynosi małemu pogromcy niedźwiedzia zaproszenie do uczestnictwa w nowej, kilkodniowej wyprawie w góry, którą sir Edward urządza, i ma nadzieję że szanowna jego babka nie odmówi swego zezwolenia. Mówił po francusku, domyślając się snąć, że panna Katarzyna nie rozumie po angielsku.

I jakby chcąc dać staruszce czas do ochłonięcia ze zdziwienia w jakie ją wprawiła ta propozycja, zwrócił się do obu panów, mówiąc że był w ich mieszkaniu z takimże samem zaproszeniem, ale żadnego z nich nie zastawszy, zostawił tylko bilety.

Henryk aż poczerwieniał z radości: oczy utkwili w twarz babki jak w tęczę, czekając jej wyroku — ona zaś spotkawszy się z tym wzrokiem błagalnym, dała zezwolenie, dziwiąc się w duszy, że magnat angielski tak zagustował w towarzystwie jej wnuka, będącego jeszcze dzieckiem.

Było to coś tak niezwykłego, tak nadspodziewanie pomyślnego, że aż obudziło w duszy panny Katarzyny pewien niepokój — choć mówiła sobie, że jest bezzasadny i wytłomaczyć się niczem nie dawał. Bo i cóż mogłoby jej lub chłopcu grozić ze strony tego Anglika? Przelotna to tylko znajomość, nic więcej, a przytem, tak dobrze o nim mówiono...

Walter, skromny młodzieniec z poczciwymi szaremi oczyma, pociągnął ją odrazu: zapytała go, jak się to stało że nosi litewskie nazwisko, i dodała że zna rodzinę Dowmuntów; jedna tylko litera stanowi różnicę w nazwisku.

— Bardzo być może że to jest gałęź tego samego co i ja rodu — odpowiedział — dziad mój pochodził stamtąd. Babka była Angielką, stąd i ojciec mój bardzo źle mówił po polsku. Matka moja Angielka także, i ja nie umiałem ani jednego polskiego słowa, ale przyjeżdżałem już w roku zeszłym w Tatry i tutaj poduczyłem się trochę, biorąc lekcye od jednego studenta, którego w zamian uczyłem po angielsku.

— Ach, więc skoro pan umiesz trochę i rozumiesz, będziemy po polsku mówili — powiedziała staruszka — niech i ja pana trochę nauczę języka przodków, bo żal mi odrośli starego, zacnego rodu, że została straconą dla kraju. O — dodała z przejęciem — źle czynią ci co go opuszczają, bo i oni mają grzech odstępstwa i dzieci ich nieświadomie w tym grzechu się rodzą. Lepiej tu znosić ze swoimi najgorszą dolę, niż szukać lepszej u obcych.

— Byli tacy, którzy musieli to uczynić — szepnęła,

— Znam takich, których nic nie zmuszało, a jednak odeszli — powiedziała z boleścią — nic prócz ambicyi i żądzy z bogacenia się, i ci są najwinniejsi. Dowmunt... — powtórzyła — Dowmunt był przyjacielem mego starszego brata.

— Pani miała starszego brata? — zapytał Jakób zdziwiony.

— Miałam — odrzekła krótko. — Powiedz mi panie Dowmoncie: jeżeli urodziłeś się już zupełnym Anglikiem, co cię skłoniło przyjeżdżać w Tatry w zeszłym roku i uczyć się po polsku? Bo że teraz towarzyszysz rodzinie baroneta, to rzecz naturalna.

— Namówili mnie tacy jak ja Anglicy z polskimi nazwiskami, których tak samo jak mnie, głos krwi ciągnie do starego gniazda.

Oczy panny Katarzyny błysnęły.

— Aa... więc głos krwi jest jednak tak silny, że odzywa się jeszcze we wnukach!... Dla czegoż jednak milczy u tych co kraj opuścili? Czy Bóg zsyła na nich karę głuchoty, że nie słyszą, jak ziemia rodzinna woła na nich: Chodź!

Doktor teraz przypomniał sobie jak przez mgłę, że słyszał coś o tem w dzieciństwie; ale co słyszał, nad tem sobie głowę łamał napróżno.

Witold zagadnął przybyłego, jakim sposobem dostał się do domu sir Warturbona. Odpowiedział, że zapoznał się z synem jego w Eton, i jeździł z nim do Rochdale na wakacje. A później, gdy ukończył szkoły i chciał się rzucić na drogę przemysłową, baronet odradził mu to, zajął się nim serdecznie i pomógł do ukończenia studiów uniwersyteckich. Był to jakiś dawny stosunek z jego ojcem, który umarł, gdy Walter był jeszcze wyrostkiem. Od dwóch lat jest nauczycielem małego hrabiego, która to rola nie jest wcale godną zazdrości, bo choć chłopiec ma niezły grunt, ale matka źle zrozumianem przywiązaniem psuje syna i paraliżuje wpływ nauczyciela na każdym kroku.

— Niech państwo patrzają, co barometr wyprawia! — zawołał nagle Henryk. — On, który po przybyciu naszym do Zakopanego spadł tak nisko, że przeszedłszy granicę deszczów, posunął się ku pogodzie, teraz wkroczył na pogodę stałą, czego jeszcze dotąd nie bywało. Co to znaczy panie Jakobie? Chyba będzie jeszcze większy deszcz. Ale od czasu naszego powrotu z wycieczki, ciągle leje, z małemi przerwami, więc barometr mógłby stać na tem samym miejscu jak stał. I dziś rano jeszcze był nieporuszony. Nawet

przed godziną patrzyłem na niego i nie zauważyłem żadnej zmiany.

— Mój kapucyn zsunął swój kaptur tak nisko, że już niżej nie może — odezwała się panna Katarzyna — stoi bezradny i strapiiony. Te góry, to prawdziwa kraina deszczów, które zamieniają się w mgły po to tylko, aby znowu spuszczać się ulewą na ziemię. Nie wiem czy kto z państwa doświadcza tego samego co ja, ale czuję dziś w powietrzu, czy może w sobie, jakiś dziwny niepokój, jakby miało zająć coś nadzwyczajnego. W tym kraju wszystkiego spodziewać się można, i odzwyczaić od dziwienia się czemukolwiek. Z rana wyjaśniło się: myślałam, że już będzie stała pogoda i zdawało mi się nawet, że powietrze jest przezrocyste, a szczyty Kościelca i Swinicy zbliżyły się.

Pan Jakób patrzył z uwagą na szczyty gór, na których gromadziły się drobne, białe chmurki i posiedziawszy tam chwilę płynęły ku wschodowi i północy, i zapytał.

— Czy państwo czujecie ciepłe powiewy od strony południowo zachodniej?

— One nie są ciepłe, ale gorące — powiedział malarz,

— Otóż zdaje mi się, że będziemy mieli wiatr halny: wysyła on te powiewy, jako przednie straż.

— Czy to nie grozi jakim niebezpieczeństwem? — spytała babunia Kasia.

— Żadnem, jak dla nas tutaj.

— Dla nas, powiada pan!... dla kogoż zatem jest niebezpieczny?

— Dla wszystkich co nie są w tej chwili pod dachem. Wyrwa on drzewa z korzeniami, lub drze je na kawały, ciskając na boki; a łamie tak nagle, że ani człowiek ani zwierzę nie ma czasu do ucieczki. Kędy las przejdzie, tam potem sterczą tylko pniaki. Rozmiata ze szczerem skoszone zboże, chałupy na bok przekręca.

— Jezus Marya — zawołała staruszka — to okropność, może i naszą chałupę roznieśli!

— Niech się pani nie obawia; stara jest, mocno zbudowana, i od lat wielu opiera się wichrom halnym.

— Eh, zdaje mi się, że pan Jakób napróżno panie straszy — odezwał się Witold. — Czy nie widzicie państwo jak pięknie słońce zachodzi? Oświetlenie gór nawet jest żywsze. Koszysta i Granaty, lśnią barwą ciemno-purpurową, wpadającą w fiolet i gdyby tylko nie te chmurki, których jest coraz więcej...

— I które zasłonią wkrótce cały obraz — dokończył doktor. — Właśnie te chmurki tak niewinne na pozór, bardzo są niedobre. Ale cicho, czy słyszycie panowie?

Wszyscy umilkli nasłuchując z napięciem. Zdała od strony gór, dochodziło coś jak jednostajne huczenie w halach.

— Wiatr halny będzie tu wkrótce — rzekł doktor — ja go znam. To są sygnały jego, że idzie. Chodźmy do pokoju: trzeba okna na gwałt pozamykać i ogień w kuchni kazać zagaścić.

Ale ogień już był zgaszony, na zalecenie gaźdźiny dbającej bardzo o całość swego domostwa. Goście chcieli się pożegnać i uciec do domu przed wichrem, ale panna Katarzyna tak się tej nieznanej potęgi obawiała, że uprosiła wszystkich trzech, aby z nią pozostali.

— Ciekawa jestem, zkąd on się bierze, ten wiatr — pytała.

— Dawniej myślano z powodu jego gorącości, że wieje z Afryki — powiedział doktor — z Sahary, ale najnowsze badania wykazały, że rodzi się on w samych górach. Jestto prąd powietrza, przechodzący główny grzbiet górski i spadający ku północy z szaloną siłą.

— A zkąd pochodzi jego gorąco?

— Siła z jaką spada ogrzewa go. Jest on zupełnie podobny do Föhn alpejskiego, który takie samo ma pochodzenie: tak samo zrzuca głazy z gór i zrywa dachy.

— Dla czego nie ma iść z Afryki? — przerwał malarz — to przypuszczenie zdaje się być prawdopodobniejsze.

— Dla tego, że wiatr przybywający do nas z Sahary, musiałby uleść zupełnemu ochłodzeniu, mijając wyżyny tatrzańskie. Tak utrzymuje doktor Rehman.

— Nie rozumiem znów zkąd ten mus.

— Bo powietrze wznoszące się w górę, traci ciepło w skutek rozrzedzenia, tak jak powietrze spuszczone się z gór w doliny musi uleść zgęszczeniu, którego nieodzownym następstwem jest podwyższenie jego ciepłoty, wskutek czego każdy wiatr, który minawszy grzbień gór, spuszcza się w doliny, w Föhn zmienić się musi.

— Hm, a mnie to wydawało się tak naturalnem.

— W Alpach zdarza się niekiedy Föhn z północy wiejący, a Sahary przecie z połnocy niema. Zjawia się też w Grenlandyi w porze zimowej i obniża ciepłotę wybrzeży o 12 do 20° Celsjusza.

— A tam on zkąd przybywa?

— Z oceanu Atlantyckiego, który w tej porze pokryty jest przeważnie lodami. Minawszy wewnątrz Grenlandyi, wzniesione do 2,000 stóp nad poziomem morza, spada z wielką siłą w fiordy zachodnich wybrzeży, a dobroczynny jego wpływ na ciepłotę tych posępnych zlodowaciałych okolic, daje się czuć jeszcze pod 82° szerokości geograficznej.

Dzieci bały się także, ale ciekawość przeważała, więc nie odchodziły od okna i czekały co to będzie, a Henryk nawet od czasu do czasu wychodził na ganek, rozglądając się po niebie. Nad Czerwonemi Wirchami i Giewontem zjawiał się olbrzymi wał chmur, sięgający aż do Swinicy, a te pędziły kłębiąc się, w dolinę, niby pijane szaleń, ziejąc gorącym technieniem, a za niemi szedł groźny pomruk, niby ryk wzburzonego morza.

(d. c. n.)

domu i tem się tłumaczy nużąca jednostajność chińskiej architektury." *) Spotykamy tam przeważnie domy parterowe o podwójnych, wyginanych dachach.

Kiedy wezbrane rzeki zaleją żyzne przedtem pola, mieszkańcy zwracają się do węży, błagając go o usunięcie kłeski, a jeśli wody ustąpią, uszczęśliwieni obywatele, chcąc okazać swą wdzięczność wężowi, urządzają wspaniałe przedstawienia teatralne, owe najmilsze dla Chińczyków zabawy narodowe, trwające niekiedy po kilka dni z rzędu, a zawsze jeszcze za krótkie dla rozbawionego tłumu. Węże kładą wówczas na tacy w świątyni, lub innem miejscu publicznem. Urzędnicy miejscowi udają się tam codziennie i, kłęcząc w obliczu bóstwa, palą przed niem kadzidła.

Zobaczmy jeszcze, jak często w materialny sposób pojmują Chińczycy swe bogi, a czasami starają się nawet oszukać je.

W czasie naprawy świątyni zaklejają zwykle kawałkiem czerwonego papieru oczy każdemu bożkowi, aby nie widział panującego w niej nieładu, gdyż nieporządek taki oznaczałby brak uszanowania, należnego bóstwu.

Bramy w świątyniach, położonych na skraju wioski, w miejscu, gdzie często zbierają się i dzielą łupem złodzieje, bywają szczelnie zamknięte w celu oszczędzenia bogom widoku, uwłaczającego ich godności.

W mieszkaniu każdego Chińczyka znajduje się posąg tak zwanego „boga kuchennego,” który w końcu roku jakby wstępuje do nieba i tam zdaje sprawę ze wszystkiego, co widział na ziemi. Aby zaś nie opowiedział o złych sprawkach mieszkańców tego domu, przeczorni gospodarze starają się przejednać bożka, smarując mu usta słodkim syropem.

Podobnież w celu wprowadzenia w błąd złych duchów, nazywają często chłopca imieniem żeńskim. Mściwe duchy, żądne śmierci chłopca, sądząc, że to dziewczynka, zostawiają go przy życiu.

Marynarze chińscy wyobrażają sobie, iż burze morskie są dziełem złych duchów, które, chcąc zatopić okręt, roztrącają fale i chwytają za liny. Lecz przebiegli Chińczycy mają sposoby na zmylenie czujności niewidzialnych swych wrogów. Kiedy burza najwięcej się sroży i grozi im rozbiciem, rzucają w morze papierowe liny, z wielką dokładnością naśladowujące prawdziwe sznury. Rozgniewane duchy wodne porywają te liny papierowe, szarpiają je, okręt zaś tymczasem szczęśliwie umyka z zasadzki.

W razie cholery, lub innej epidemicznej choroby mieszkańcy wielu prowincji chińskich odprawiają uroczystości noworoczne już w początkach szóstego, lub siódmego miesiąca, a czynią to w tym celu, by utwierdzić bożka zarazy w mniemaniu, iż się omylił co do pory roku, a przekonaw-

*) Życie w Chinach — przekład Wiktora Wolskiego.

Do pow. Testament Dziwaka.



„Pani Katarzyna czyta telegram.”

NAJLICZNIEJSZY NARÓD NA ŚWIECIE.

Opracowała Tomira.

(Dalszy ciąg.)

Najwięcej rozpowszechnioną u Chińczyków jest wiara w dobroczynny prąd powietrza, płynący łagodnie z południa, tak zwany feng-szni. Wyobrażają sobie oni, „że tuż ponad domami, niewidzialnie unosi się w powietrzu Wielki Smok i z nozdrzy swych wylewa na ludzi cały potok dobrodziejstw. Leci on prosto przed siebie, ale jeżeli w swym locie napotka jakiś wysoki budynek, skręca natychmiast i w ten sposób domy, położone za jakąś przeszkodą, tracą udział w jego dobrodziejstwach. Stąd pochodzi, że każdy Chińczyk czuwa nad tem, ażeby sąsiad jego nie wybudował wyższego

szy się, że zadługo bawił w danej okolicy, oddali się i zaraża ustąpi.

Chociaż Chińczycy pozornie wpadli w bałwochwalstwo, umięją oni jednak ocenić wartość swych bożków i właściwie nie przywiązują do nich wielkiej wagi. Na potwierdzenie tego przytoczyć można wiele przykładów.

Pewien sędzia rozpatrywał sprawę, w którą wplątany był kapłan, a pośrednio i sam Budda, jako gospodarz świątyni. Wezwano go zatem, by stawiał się przed sądem. Wobec sądu zwyczaj nakazuje każdemu klęknąć, czego bożek, jako sztywny bałwan, w żaden sposób uczynić nie mógł. Za taki brak uszanowania sędzia skazał go na 500 plag. Przy wymierzaniu kary bożek w proch się rozsypał.

Czysto praktyczny charakter Chińczyków zdradza niezwykła lekcja pogładowa, udzielana bożkom, gdy te nie zadowolają się dość prędko do próśb ludzkich, co zaraz na przykładzie zobaczmy:

W czasie suszy Chińczycy zanoszą modły do boga deszczu, by raczył wejrzeć na spieczoną ziemię i orzeźwić ją obfitym deszczem. Jeśli zaś bożek, mimo usilnych próśb, deszczu nie zsyła, wieśniacy wynoszą posąg jego z chłodnej świątyni i stawiają go w miejscu, gdzie największa panuje spiekota, aby się nareszcie sam przekonał, jaki niezdolny upał dokucza mieszkańcom ziemi.

Wszystkie te praktyki są nadzwyczaj dziecinne, a dowodzą tylko, że Chińczycy, poza czią, jaką otaczają duchy zmarłych swych ojców, pozbawieni są zupełnie uczuć

jest tylko mniemanie, iż człowiek posiada trzy dusze. Lecz jakie są dalsze losy tej nieśmiertelnej części człowieka, o to nie troszczą się oni bynajmniej w myśl mistrza, który rzekł do jednego z uczniów swoich:

„Nie nauczyłeś się jeszcze dobrze żyć, a już myślisz o tem, co cię spotka po śmierci.”

Jak widzimy, pod względem pojęć religijnych, wskutek połączenia się z sobą różnych wierzeń, panuje w Chinach zupełny chaos.



Konfucyusz, prawodawca chiński.

Rozumnijsi obywatele Państwa Niebieskiego widzą jasno, iż sami otrząsnąć się z przesądów nie zdołają i pojmują bezsilność swych wierzeń.

Odrodzić Chińczyków duchowo, wyrwać ich ze zbyt-niego przywiązania do ziemi niema ich religia ludzka dość mocy. Dzieła tego dokonać może tylko wiara chrześcijańska. To też liczni misjonarze, przeważnie katolicy oddawna opowiadają wśród nich Ewangelię świętą i krwią swoją, przelaną w srogich prześladowaniach, obficie zrosili już ziemię chińską.

Dla czegoż jednak, spytamy, stawiają Chińczycy tak zawzięty opór krzewieniu wśród nich wiary chrześcijańskiej? Otóż przyczyna tego jest ważna. Wiemy już, iż za najświętszy swój obowiązek uważają oni składanie ofiar duchom zmarłych przodków, a przyjmując chrystyanizm, wyrzec się tego muszą, jako bałwochwalstwa, skazując tem samem dusze swych ojców na los żebraków w świecie duchów. W umyśle ich rodzi się tedy obawa, czy obrażone duchy nie zechcą pomścić swęj krzywdy? Obawa ta głównie powstrzymuje wielu Chińczyków od przyjęcia wiary chrześcijańskiej.

Mimo to liczba chrześcijan w ostatnich latach wzrosła tam bardzo i niedaleką zdaje się chwila, kiedy nauka Chrystusa oczyści ten świat, pokryty pleśnią przesądów odwiecznych, i wskaże mu nowe zupełnie, a szlachetne ideały i cele życia.

TESTAMENT DEIWAKA,

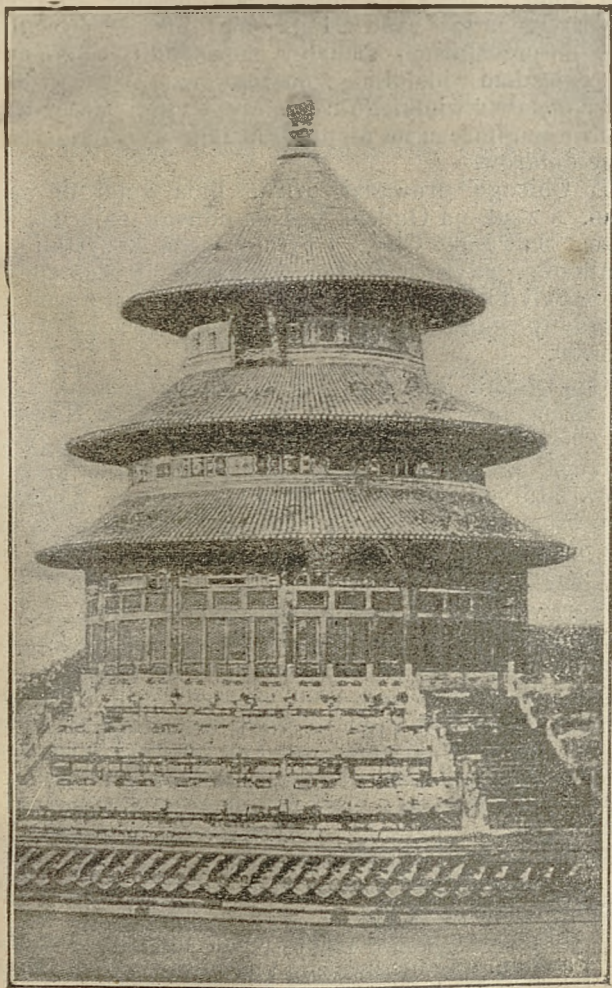
POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Na taki argument stary sknera zamilkł. Nareszcie zbliżała się dwunasta, trzeba było pośpieszyć do biura telegraficznego.



Świątynia „Nieba”.

religijnych, gdyż, jak to już poprzednio wspominaliśmy, Konfucyusz zalecał im życie cnotliwe, jako konieczny warunek osiągnięcia szczęścia wyłącznie na ziemi. O przyszedł, zagrobowem życiu niewiele uczy ich prawodawca. Nawet o duszy daje bardzo słabe pojęcie. Powszechnem

Jakaż tam pustka! Zaledwie kilka osób trzymało się zdala, mierzając trzeciego partnera nieufnem wzrokiem. Jakże inaczej było w Fort-Riley, Austin, Santa-Fe, Milwaukee, a nawet Key-West, gdzie nieprzeliczone zbierały się tłumy, witające owacyjnie swych gości.

— Telegram dla pana Hermana z Chicago! — wygłosił urzędnik wraz z uderzeniem zegara.

Trzeci partner otworzył usta, aby zaświadczyć swoją obecność, lecz z silnego wstrząśnienia głos zamarł mu w pierś. Daremnie potrząsała go za ramię z całych sił pani Katarzyna, aż w końcu sama zawołała:

— Obecny!

— Czy nie zachodzi jaka pomyłka, czy prawdziwie jesteś pan w prawie odebrania tej depeszy? — zapytał urzędnik.

— Czy jest Titburym — zawołała tonem oburzenia energiczna pani.

— Czy nim jestem!.. — powtórzył już teraz równie dobitnie trzeci partner. — Udowodnienie mojej tożsamości dość mi już tu drogo kosztowało. Jeżeli masz pan jeszcze jaką wątpliwość, proszę iść do sędziego.

Urzędnik uśmiechnął się nieznacznie, popatrzył przez chwilę na małżonków i podał papier.

Drżące ręce pana Hermana nie mogły utrzymać nawet tak lekkiego ciężaru. Wyjęczyła go małżonka i poczęła czytać, lecz głos jej zrazu bardzo pewny i silny, słabł przy każdym wyrazie, aż w końcu zamienił się w szept ledwie dosłyszany.

Oto dosłownie forma telegramu:

„Herman Titbury. Punktów: jeden i jeden, razem dwa. Great Salt Lake City. Stan Utah.

Tornbrock.”

Co za przeciwność! Pod takim ciosem nieprzyjaznego losu oboje Titburowie uczuli się bliżcy zemdlenia; wielu z obecnych wybuchnęło wesołym śmiechem, tylko ktoś miłośnierniejszy, widząc jak się zataczają, podsunął im krzesła, na które się usunęli.

To nie do uwierzenia prawie! W dwóch rzutach kości wszystkiego zaledwie cztery punkta, a co przytem za podróż! Tu kraniec stanu Maine na północy - wschodzie, tam znów Utah, głąb odległego zachodu!

I jakże się tu równać Niebieskiemu Pawilonowi z drugimi partnerami? z takim Crabbem, Realem, Kimbalem lub Heleną Nałęcz, nie mówiąc już nic o Urricanie. Tamci biegli było naprzód, niby zające po równinie, ci wlekli się powolnym krokiem żółwia po tejże karcie gry.

I teraz do tysiąca mil przebytych z Chicago do Calais, dodać im trzeba dwa tysiące dwieście dzielących Calais od Great Salt Lake City.

Z tego pogneębienia, tak zresztą słusznego, otrząsnęła się pierwsza, zawsze energiczna pani Titbury, i ujawniwszy męża za ramię pociągnęła go z powrotem do oberży Sandy-Bar.

— Dwa rzuty kości, to jeszcze nie wszystko, jeszcze nikt nie powiedział, że już gra skończona; jeszcze możemy tamtych nie tylko dogonić, ale i prześcignąć, — pocieszała siebie i swego towarzysza. — Wyjeżdżajmy tylko jak najspieszniej. Wszakże jedyna ztąd droga do Utah prowadzi na Chicago. We własnym domu, gdzie nas wszystko o tyle mniej kosztuje, odpocznijmy, gdy tego trzeba będzie, chociaż co prawda, wiele czasu nie mamy do stracenia między 19-tym maja a 2-im czerwca.

— Rób jak zechcesz — odpowiedział jej Herman tonem zupełnego zniechęcenia.

A ponieważ pani Katarzyna nie myślała bynajmniej nastąpić nieprzyjaznemu losowi, w którym upatrywała nawet widoczny wpływ Tornbrocka, ponieważ mimo wszystkiego postanowiła walczyć do ostatka, zawsze jeszcze pewna zwycięstwa, więc jak najprędzej mogła, dźwigając sama torbę podróżną z parasolami, podążała pieszo z mężem na dworzec kolejowy, gdzie już woli poczekać na właściwy pociąg, byle tylko opuścić miasteczko Calais, które im tak bardzo dokuczyło.

Takie widoczne niepowodzenie Niebieskiego Pawilonu, zniechęciło ku niemu nawet tych, którzy już postawili różne sumy na niego; gdyby można, niewątpliwie chętnie cofnęliby poczynione zakłady. A gdy przed wieczorem rozszła się wieść po mieście, że Titburowie opuścili już Calais, ktoś w towarzystwie odezwał się żartobliwie:

— I za szczęście uważajmy sobie, że już do nas nie powrócą!

Czy jednak sympatyczni czy nie, zawsze byli to ludzie już niemłodzi, dla których, mianowicie przy tak zakorzenionem sknerstwie, daleka podróż była ciężkiem zadaniem. Pan Herman okazał się jeszcze wrażliwszy na niewygody od swej małżonki, i wrócił do domu z takimi bólami reumatycznymi, że nie mogąc ustać na nogach, położył się niezwłocznie do łóżka. A gdy go w takim pożałowania godnym stanie zastali reporterzy redakcji Staat Zeitung, pisma które dotychczas ziomka swego brało stale w obronę, nawet oni zwątpili teraz o nim, uważając za niemożliwe jego wyzdrowienie i dalszą podróż.

Jednakże pani Katarzyna nie pomyślała i teraz o poradzie doktora i środkach aptecznych, uważając wydatek podobny za wstrętą jej rozrzutność; wołała z pomocą swej służącej, znanego nam dragona w spódnicę, zastosować mniej kosztowny środek rozcierania miejsc bolących; a zabrała się do tego z taką siłą, że bodaj żaden koń nie przeszedł równie gwałtownej kuracyi.

W każdym razie cierpliwy pacjent nie pożałował tego, bo mimo, że nogi jego oblażyły całe ze skóry, bóle tak się zmniejszyły, że już rano 24-go mógł puścić się w dalszą drogę, do przesławnej siedziby mormonów; tylko jeszcze przed wyjazdem widział się zmuszony naruszyć całość swej kasy i chociaż z wielkiego żalu drżał cały jak w febrze, włożył do pugilarasu na nieprzewidziane wypadki, całe trzy tysiące dolarów.

Z Chicago prowadzi prosta linia kolei do miasta Omaha, a ztąd na Ogden, boczną odnogą zajechać łatwo do Great Salt Lake City. I byłoby może wszystko poszło jak najlepiej, gdyby w Ogden, czekając na następny pociąg nie byli Titburowie spotkali się z jednym z partnerów gry, i gdyby spotkanie to nie pociągnęło za sobą ważnych następstw.

Oto właśnie dnia tego w poobiednich godzinach Maks Real, wracając w najlepszym humorze z Parku Narodowego do Cheyenne, zatrzymał się również w Ogden, gdy wtem spostrzega na peronie, idącą naprzeciw sobie parę małżonków, których charakterystyczne fizyonomie zostały mu dobrze w pamięci jeszcze od ceremonii pogrzebu, a następnie z posiedzenia w Auditorium, w czasie czytania testamentu zmarłego Dziwaka.

Wprawdzie Titburowie wyleczyli się już w Calais z chęci podróżowania pod fałszywem nazwiskiem i za przybyciem na miejsce mają stanowczy zamiar podać w hotelu swe prawdziwe, ale czy koniecznie w ciągu drogi mają wszyscy wiedzieć, że to oni właśnie są przyszłymi spadkobiercami milionów Hypperbona i na ten rachunek ściągają podwójne ceny za każdą posługę, każdą najmniejszą rzecz zakupioną przez nich? Czyż nie lepiej przejechać niepostrzeżenie, nie zwróciwszy niczyjej uwagi na siebie? Taki plan wydał się im najpraktyczniejszy.

Lecz co znaczą wszelkie plany ludzkie, gdy co innego jest nam przeznaczone?

I któż opisie przykre zdziwienie, jakiego doznał Niebieski Pawilon, gdy nie zważając na blisko stojących pasażerów Pawilon Fioletowy zawołał:

— Co widzę! pan Herman Titbury z Chicago, mój współzawodnik z gry Hypperbona. Witam, witam pana!

Małżonkowie zadrżeli. Wyminąć niedyskretnego natręta i udać, że nie do nich zwrócone były jego słowa, nie mogli już w żaden sposób.

Więc pan Herman zdobywa się na wybieg.

— Zapewne pomyłka, prosta pomyłka...

— Czyżby mię tak dalece pamięć myliła! Nie, nie

przypominaną sobie nawet dokładnie, że staliśmy obok siebie na owym sławnym pogrzebie w Chicago. Jestem Maks Real, pierwszym partnerem gry.

— Maks Real — powtórzyła pani Katarzyna, tonem jakby pierwszy raz w życiu nazwisko to posłyszała.

To już znecierpliwiło artystę.

— Więc powiedz mi pan raz przecie: jesteś czy nie jesteś Hermanem Titburym z Chicago.

— Mój panie, jakim prawem pozwalasz sobie zaczepiać mnie w ten sposób — bronił się skąpiec, udając obrażonego.

— Jeżeli powitanie moje nie podoba się panu, mniejsza z tem — odparł Maks Real, kładąc kapelusz na głowę. Bo cóż właściwie może mnie obchodzić, czy pan chcesz czy nie chcesz być Titburym!... Co do mnie jestem Maks Real, wracam z Kansas do Wyomingu i mam honor pożegnać pana — dodał pospiesznie, gdy głos dzwonka przypomniawszy mu, że pociąg do Cheyenne już za chwilę ruszy z miejsca.

Titburowie zaperzeni ze złości chcieli usunąć się prędzej z przed ócz ciekawie patrzących, gdy podszedł ku nim mężczyzna lat około czterdziestu, z fizyonomią, mogącą obudzić zaufanie nawet najpodejrzliwszych, z ubrania i ruchów skończony gentelman.

— A toż dopiero impertynent z tego pasażera — rzekł z uprzejmym ukłonem — i gdyby nie wzgląd, że jako nieznajomemu nie wypadało mi mieszać się w tę sprawę, byłbym mu dał porządną nauczkę.

— Dziękuję panu, stokrotnie dziękuję — pospieszyła z odpowiedzią pani Katarzyna — której pochlebiało, że tak „dystygowany pan” okazuje się gotowym wziąć ją w swą obronę.

— Czy jednak był to rzeczywiście Maks Real, pański partner — zapytał gentelman.

— Być może... tak, nawet pewny tego jestem, jeśli mam szczerą wyznać panu prawdę — odpowiedział pan Herman.

W każdym razie nieciekawa to osobistość; grubijanin, któremu życzę tysiąca nieprzyjemności za karę braku należnego poszanowania dla tak poważnych osób jak państwo. A niechże los szczęśliwy dopomoże panu pokonać zarówno tego, jak wszystkich innych przeciwników!

Wszelka grzeczność zniewala, a takiej uprzejmości starzy skąpcy bodaj nigdy jeszcze w życiu nie doznali. To też pod tym wrażeniem zostali nadal w towarzystwie nieznajomego, który przedstawił się jako Robert Inglis z Great Salt Lake City, gdzie miał jakoby zajmować wybitne stanowisko kupca, i gdzie też wracał po załatwieniu w Ogden ważnych interesów. Rozumując, że jako obcym w mieście trudno będzie Titburom obrócić się i znaleźć odpowiednie ulokowanie, ofiarował swe usługi, polecając szczególnie hotel „Cheap,” który choć leży trochę za miastem, lecz odpowiada rzeczywiście swej nazwie *) niezwykle taniością.

Uprzejmy opiekun mówił całą drogę wiele, udzielając słuchającym go z całą uwagą małżonkom, różnych ciekawych wiadomości. Szczegół, że jest czterdziestym trzecim dzieckiem swego ojca, zabawił bardzo panią Katarzynę, która dopiero teraz dowiedziała się, że Great Salt Lake City jest główną siedzibą mormonów, którzy żyli w wielożeństwie. Sam nawet wielki apostoł sekty i pierwszy radca kościoła, sławetny Herbert Kimball, zostawił, umierając trzydzieści żon i pięćdziesiąt czworo dzieci.

Lecz bądźmy przekonani, że chociaż wielkiej zasługi mógł być ten krzewiciel nowych zasad, choć go mormoni mogli uwielbiać, znajomy nasz, główny kronikarz Trybuny, Harris T. Kymbale, którego nazwisko brzmi podobnie, lecz innej jest pisowni, nie pójdzie nigdy śladem jego, jeśli nie dla innej to dla tej przyczyny, że wielożeństwo jest już zabronione nawet samym mormonom.

(d. c. n.)

CZY SIĘ UDA?

KOMEDYJKA W 1-ym AKCIE.

OSOBY:

Pan Krzewski.

Helenka (jego córka).

Panna Celina (nauczycielka Helenki).

Zuzia (pokojówka).

(Rzecz dzieje się w mieście. Sceną przedstawia salon w mieszkaniu pana Krzewskiego).

SCENA 1-a.

Helenka sama (chodzi niecierpliwie, lecz uradowana).

Ciekawam, czy też przyjdzie?... wczoraj posłałam list przez Walentego... że to będzie śmieszne to śmieszne! Guccio, mój brat cioteczny, który był u nas na święta Wielkanocne, mówił mi, że się z tego nieraz bardzo zabawnie układają rzeczy, jak się kogo w ten sposób zwiedzie. A ja ogromnie lubię drugich zwodzić. Cóż to szkodzi? przecież to tylko niewinne żarty. Wczoraj (tajemniczo) piszę list do panny Celiny, niby to z upoważnienia tatusia, pragnąc nie przerywać nauki, proszę ją, aby nam towarzyszyła na wieś na wakacje. Bałam się trochę co prawda i ręka mi drżała, nuż się obrazi? i tatuś się na mnie rozniewa? Ale nie. Czyż to się raz żartowało? Panna Celina dobra i nie weźmie za złe moich figlów... Oby tylko przyszła... Ale przyjdzie — ręczę, że uwierzy i przyjdzie! Te nauczycielki, to pasjami lubią dawać lekcje; nie domyślają się, że uczniowie i uczniowie nie znajdują w tem żadnej przyjemności. Spotka ją śmieszny zawód. Oj, uśmieję się też, uśmieję — ha! ha! ha! (dłąc do zegara). Już po dwunastej — tylko jej patrzeć, bo będzie chciała zaraz porozumieć się z tatusiem.

SCENA 2-a.

Ta sama Zuzia.

(Zuzia wchodzi do salonu z miotełką do obmiatania kurzu).

Helenka. Po co tu przyszłaś, Zuziu?

Zuzia. Albo co?

Helenka. Boś tu niepotrzebna.

Zuzia. Przeszkadzam, czy co? Toć się panienka teraz nie uczy.

Helenka. Chociaż się nie uczę, ale mam zawsze zajęcie.

Zuzia. Takie zajęcie! pewno panienka knuje jaką nową psotę.

Helenka. Tak myślisz?

Zuzia. Albo nie? człowiek zawsze tylko musi myśleć, aby się nie złapać.

Helenka. A upilnować się trudno, prawda? W tem właśnie sztuka.

Zuzia. Boga-ć nie! Mało to razy panienka mówi: „Zuzia, sukienka ci się rozdarła,” ja się wystraszyłam, patrzę, a ona calusieńka. Albo wtenczas na Wielkanoc: „Zuzia, masz tu jajka, weź sobie!” Lecę uradowana zabierać, a tu same skorupy.

Helenka. Cóż wielkiego, pośmiać się i zabawić; moja nauczycielka taka uczona i mądra, a nie gniewa się nigdy o żarty.

Zuzia. O! że mądra to mądra. Co to ona panience nie nawykłada! a tak mówi słodko i cierpliwie jak anioł.

Helenka. Ja ją też kocham i szanuję, ale przytem mam

*) Cheap oznacza „tani”

ochotę czasem się zabawić. Nieraz po lekcji, gdy chwilę rozmawia, a potem żegna się z tatą, ja myk, chowam jej parasolkę, ale tylko tak, *(robi giest)* trzymam ją za sobą. Panna Celina ogląda się po kątach, szuka, przypuszcza, że gdzieś parasolkę zostawiła, już zakłopotana ma odejść — wtem ukazuję ją przeciotko i mówię: ao!

Zuzia. I ona tak nie na to?

Helenka. Spójrzy na mnie, uśmiechnie się i pogrozi: oj, figlarko, figlarko.

Zuzia. Mądrzy ludzie widać nie obrażliwi.

Helenka. O co miałyby się obrażać! A pamiętasz rękawiczki?

Zuzia. Ba! nie mam pamiętać! Co to było szukania! pod komodą, po kieszeniach, wszędzie. Panna Celina mówi: „pamiętam, że tu położyła,” bierze, przypatruje się... a tu jedna w drugiej siedzi.

Helenka. Wtenczas, to tatuś spójrzył na mnie surowo, ale panna Celina zaczęła perswadować: „to tylko figle dziecinne.”

Zuzia. Ale ja się tu zabawiam, a tam na mnie czeka robota; a jest jej co niemiara przed pańskim wyjazdem, trzeba lecieć! *(zabiera miotkę i wychodzi)*.

SCENA 3-cia.

Helenka *(sama)*. Dobrze, że sobie poszła; nie chcę, żeby mnie panna Celina tu zastała, a może nadejść... Czy się też mój figiel uda? Ze się uda i będzie śmiech, to pewna, ale czy... no, już że to będzie zabawne, to zabawne, jak się ci państwo nie będą mogli zrozumieć! Schowam się za portyerę, *(wskazuje)* aby widzieć to zakłopotanie; ale długo czekać nie będę — wyskoczę zaraz i powiem:

..... nic to nie szkodzi;

Kto kogo kocha, ten tego zwodzi.

(idzie do okna i wygląda na ulicę). Jakie pustki na ulicy, mało kto idzie; ale bo też dziś upał! dobrze, że wyjeżdżamy na wieś. *(znów patrzy przez okno, przysłoniwszy ręką oczy)*. Tam zdaleka... idzie jakaś pani... bardzo podobna do panny Celiny; może to ona? Tak samo w popielatej sukni; do prawdy, to z pewnością ona! Wyjmuje chustkę i czoło ociera z potu... musi być strasznie zmęczona! Ale, bo też dłaczego nie wziąć dorożki? Żal mi jej, że w taki skwar idzie piechotą. Jak tatuś to zobaczy i dowie się o wszystkim, może się na seryo rozgniewa. Biegę się ukryć, bo już pewno panna Celina weszła do bramy *(chowa się za portyerę tak, że oddzielona od sceny, widzialną jest dla patrzących na przedstawienie)*.

(d. n.)

METAGRAM.

Przez *l* znajdziesz roślinę ważnego użytku,
Przez *s* dobro dla ciała, byle nie do zbytku,
Przez *R* i *M* dwie wielkie pobratymcze rzeki
Co złączywszy swe wody płyną w kraj daleki.
Przez *t* wreszcie zaimek, co w mowy obrocie,
Oświeca cię stanowczo o danym przedmiocie.

ARYTMOGRYF.

od Z. D. dla Wieśniaczki.

8, 6, 4, 1, 6, 17. Miejscowość w Austrii znana z bitwy w 1809 r.
11, 22, 10, 6, 23, 24, 12, 6. Wyspa na północnym oceanie.
16, 13, 10, 13, 22, 14, 15, 2. Przyrząd do badania oddalonych przedmiotów.
22, 6, 10, 6; 17, 11, 23, 6. Wyspa słynna z bitwy Greków [w 480 r. przed Chr.
16, 12, 25, 13, 1, 12, 26, 22, 18. Cesarz rzymski.
8, 6, 23, 24, 6, 10, 15, 8, 11, 13. Dziki naród germański.
15, 1, 18, 13, 19. Miasto w Rosyi.
22, 18, 6, 9, 23, 15, 5, 20, 6. Historyk polski.
18, 15, 3, 11, 6. Imię żeńskie.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, których pierwsze litery złożą imię i nazwisko słynnego polskiego rzeźbiarza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35 go

Szarady: To — kio. — Kio — to.

Zadania konikowego:

Sierpa trzeba oziminnie;
Kosa się przyda jarzynie;
A wy młodzi noście snopy,
Drudzy układajcie w kopy.

Gospodarzu nasz wybrau,
Ty masz mieć wieniec kłosiany:
Gdy w ostatek zboża zetnie
Krzywa kosa już ostatnie.

Jan Kochanowski.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał IV-ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Niezabudki, wiersz przez W. Z. — Park Jordana (list z Krakowa przez Imę. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Najlicniejszy naród na świecie, opracowała Tomira (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Na wakacje, komedycja w 1-ym akcie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Dzienniczek Wańdzy (z ryc.) — Na nowy rok szkolny, wiersz przez W. B. — Figiel za figiel, opowiadanie przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Mały książę, powieść z życia żaków, według I. J. Kraszewskiego przez Zofię Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Вapшaвa 26 Aвpылa 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Dzienniczek Wańdzi.

CZEŚĆ II.

N a m o r z u .



Marsylia 28 kwietnia 1900 r.

Jestem bardzo zmęczona. Po całodzienniej podróży stanęliśmy wreszcie w Marsylii i co mnie przedewszystkiem uderzyło, to wiatr szalony, który o mało nie przewrócił omnibusika, wiozącego nas do hotelu de Rome et de St. Pierre.

Marsylijczycy najspokojniej twierdzili, że to mistral, trwający trzy dni; idzie z morza, potem znów w morze zapada—i cisza.

Ojczulek mówi, że Marsylia jest typem ogromnego portowego miasta z powodu wielkiego ruchu. Ludzi tak pełno na ulicach, iż z początku myślałam, że to jakieś nagłe zbiegowisko, spowodowane wypadkiem; ale nie, to ciągle i o każdej porze ludzie biegną ku portowi, wozy ładowne, omnibusy, dorożki, mało powozów, mało osób eleganckich, tylko tłok, ścisk, wre życie handlowe, połączone ze swobodą południowych Francuzów.

Idziemy razem z tym tłumem przez najszerszą, najludniejszą ulicę, Cannebière zwaną, z której Marsylijczycy są bardzo dumni, twierdząc, że gdyby Paryż miał swoją Cannebière, to byłby małą Marsylią. Na końcu tejże ukazuje się oczom podróżnego szafir Śródziemnego morza i las masztów, oraz mnóstwo parowców z różnoko-

lorowemi kominami; przytem słychać gwizd syren, nawoływanie majtków w różnych językach. Między Paryżem a Marsylią istnieje zawsze rywalizacya o piękność miasta; ktoś tatusiowi mówił, że gdy powiedział Francuzowi z południa, że Cannebière niczem nie ustępuje bulwarom paryskim, ów obrażony odrzekł: „Vous comptez la mer pour rien!”

Mamusia z cicią zostały jeszcze w mieście, a ja z tatusiem powróciłam do hotelu i piszę sobie dziennik. Jest jeszcze zupełnie jasno na dworze. Będzie to dla mnie miłą rozrywką podczas tej dalekiej podróży opisywać wszystko, co się przez ten czas stanie; nie będzie mi się nudziło, a przytem będę miała pamiątkę na całe życie. Mamusia nawet mówiła, że jeżeli będę starannie i ładnie opisywała moje przygody, to mi potem poprawi niektóre rzeczy i pośle do Warszawy do „Wieczorów Rodzinnych,” naturalnie, jeżeli przyjmą.

To bardzo dobre pismo i tak starannie redagowane. Mamusia mi je abonowała gdy mieszkaliśmy jeszcze w Paryżu. Zabierałam zawsze ostatni numer z sobą do la Barre, jak jeździliśmy tam na niedzielę, dla Antolka i dla Stacha. Za każdym razem, wyjeżdżając stamtąd wieczorem, ciocia mi mówiła:

— Moje dziecko, pamiętaj, przywieź Wieczory na przyszły raz.

A gdy z domu wyjeżdżaliśmy do la Barre, ojczulek mówił zawsze:

— Wanduś, a masz przynętę na nieoswojone ptaki? tak bowiem nazywał Antolka i Stacha z powodu ich żywości.

Mój Boże, a teraz już wszystko to po za nami — i la Barre, gdzie tyle niedziel wesoło i mile mi przeszło, i Cherburg, gdzie mieszkaliśmy półtora roku, a gdzie koniec końcem było nam dobrze, bo i na ludzi trafiliśmy serdecznych i przyjaznych, i myśmy byli zdrowi.

Wszystko, wszystko po za nami! Kiedyż znów zobaczę swoich? Kiedy powrócę, by uściskać ciocię Kostunię, która zawsze dla mnie była taka dobra i kochana! A Antolek, a Stach! Staną się przez ten czas oswojonymi ptakami, i już nie będziemy dokazywali i hałasowali razem. Smutno mi bardzo opuszczać Francję, bo to moja druga ojczyzna. Mogłabym z Maryą Stuart, biedną królową Szkocyi, powiedzieć:

Adieu, charmant pays de France,
Que je viens de tant chérir;
Berceau de mon heureuse enfance,
Adieu! te quitter — c'est mourir!

Jutro pójdziemy wszyscy do spowiedzi prosić Boga o błogosławieństwo na podróż. Mama kupi mały srebrny okręcik i zawiesi pomiędzy tyłu innemi votami w kościele Notre Dame de la Garde, stojącym na szczycie wysokiej skały, tuż nad brzegiem morza. Na samym wierzchołku wysokiej wieży wznosi się Madonna złota — świeci, jak gwiazda, prawdziwa Gwiazda morza. Z wysokości ogromnej Ją pierwszą widzą statki, wpływające do portu, Ją długo jeszcze widzą odjeżdżający żeglarze, których zdaje się błogosławić na daleką drogę.

Już więcej pisać dzisiaj nie będę. Niezadługo powróci mama z ciocią z miasta i pójdziemy na kolację, a muszę przygotować się jeszcze do jutrzejszej spowiedzi. Uchciałabym nietylko uprosić szczęśliwą podróż, ale także dostąpić łaski i z pomocą Boga pozbyć się niektórych moich wad, mianowicie gwałtowności. O, bo ja jestem wielką złośnicą! Jak mi się co nie wiedzie pomyślenie, zaraz jestem zła. A to bardzo brzydko, zwłaszcza dla panienki, która, jak mamusia mówi, powinna być aniołem łagodności i cierpliwości. No, ale jestem jeszcze mała, mogę się poprawić — mam na to czas. Będę się modliła do tej złotej Madonny, ale w myśli wystawię sobie, że to nie Matka Boska Marsylijska, ale ta nasza biedna Częstochowska z dwoma kresami na ciemnej swej twarzy. Ona doznała więcej smutków, więc też pewno lepiej zrozumie tych, którym nie wesoło. Mamusia gniewałaby się, czytając to co piszę, i powiedziała by mi, że Matka Boska jest wszędzie równa, ale ja w głębi serca przyznać muszę, że najwięcej kocham tę naszą Częstochowską, i że ona jest inną dla nas, jak te drugie — bliższą nam i droższą. Ale może ja jestem głupia, że tak sobie myślę.

(d. c. n.)

Na nowy rok szkolny.

Znów w szkolnej ławce schylone pilnie,
Z książką, co światło w główce wam nieci,
I co wam korzystać da nieomylnie,
Witajcie dzieci!

Czas na wakacjach zbiegł wam tak hyży
Jak ptak, co szybko w oczach przeleci,
I znów o stopień poszłyście wyżej;
To pięknie, dzieci!

I tak co roku z stopni na stopnie,
Tam gdzie wam gwiazdka przewodnia świeci,
Póki się celu swego nie dopnie,
Trzeba iść, dzieci!

I niczem zrażać się nie należy!
Przejdzie rok jeden, drugi i trzeci,
I wielcy ludzie, niech dziatwa wierzy,
Urosną z dzieci.

Lecz nie dość urość, to każdy umie,
A człek nie wzrostem lecz głową świeci,
Więc trza się starać, aby w rozumie
Rosły wciąż dzieci.

Oto rok szkolny znów się otwiera:
Dalej do książki! czas szybko leci!
Gorliwość w pracy Bóg zawsze wspiera,
Pomnijcie dzieci!

W. Bełzu.

Figiel za figiel

OPOWIADANIE

p. Julję Flasecką.

(Dalszy ciąg).

— Oto moja córeczka Władzia — rzekła pani domu — wasza kuzynka i towarzyszka nauk i zabaw, mam nadzieję, że się nietylko zaprzyjaźnicie, ale i serdecznie pokochacie.

Dzieci uściślały się, a mama mówiła dalej, ułatwiając im poznanie.

— Zygmunt i Lucia przyjechali do nas na czas dłuższy, a że dzieci nie powinny próżnować i zresztą nie lubią tego, będą się więc razem z tobą Władziu uczyli, a później razem bawili. Ja teraz muszę odejść urządzić pokój moim kochanym gościom, ty zapoznaj się z nimi bliżej.

Poszło to bardzo łatwo, zwłaszcza Władzi, która będąc ciekawą różnych rzeczy, a szczególnie, dla czego ich przyjazd mama trzymała w takiej tajemnicy, przysiadła się zaraz do chłopczyka, ponieważ ten zdradzał większą skłonność do gawędy i dalejże wypytywać dziesięć rzeczy naraz.

— Gdzie mieszkacie, dlaczego moja mama po was jeździła? dlaczego mój tatuś tak smutno na was patrzy i dlaczego powiedział do panny Teresy: „biedne dzieci. Czy jesteście tak biedni, że nie macie domu? co robi wasz ojciec? wasza mama?

Chłopczyk patrzył na nią zdumiony, a dziewczynka na wspomnienie mamy, skrzywiła usteczka do płaczu.

Na wszystkie te pytania, odpowiedział krótkim objaśnieniem, że nie są biedni, owszem, mają dom, ale rodzice zmuszeni pojechać gdzieś bardzo daleko, a że ta podróż dla nich byłaby za ciężka, więc ciocia podjęła się opieki nad nimi.

Zwrócił się też zaraz do swej siostrzyczki i jakby chcąc odwrócić myśl jej o domu i rodzicach zaczął jej opowiadać, że tutaj u wujostwa jest ogród, a w nim huśtawka i gimnastyka; można będzie ziemię kopać, grabić, a nawet siać groch, jeśliby chciała. Władzia także zaczęła im pokazywać różne rzeczy, opowiadać, i zaraz też nawiązał się stosunek przyjacielski, i wszystko ułożyłoby się dobrze, gdyby nie owa podejrzliwość i ciekawość Władzi, która psuła najmilsze chwile wspólnej zabawy. Patrzając na dzieci i kręcąc głową myślała:

— A jednak w tem wszystkiem coś jest, to milczenie dużo mi mówi. — Mądrała Zygmus myśli, że mnie wyprowadził w pole, i że ja wierzę temu, co mi mówi! Nie takam ja łatwowierna, pokażę mu w końcu, że do wiem się wszystkiego bez niego.

To też w brzydki sposób starała się nawet podsłuchiwać domowników. Tajemnicę widziała na każdym kroku. To ojciec spojrzał jakoś dziwnie, to mama mrugnęła na pannę Teresę, to wtedy tylko rozmawiali rodzice głośno, gdy dzieci były w ogrodzie. Władzia stała się prawdziwą męczennicą. Przyniesiono listy z poczty. Rodzice zazwyczaj czytali je razem. Ona gubiła się w domysłach, co mogą zawierać te koperty.

Państwo Burzańscy na widok ich zamienili porozumiewawcze spojrzenia, Zygmus poruszył się na krześle jakby z radości i silnie się zaczerwienił.

Wstano od stołu; dzieci z nauczycielką poszły do ogrodu, lecz Władzi z niemi nie było. Gdzieś się podziała, przepadła jak kamień w wodę. Pani Burzańska list przeczytała i kazała zawołać Zygmunta.

— Chodź Zygmuncie — rzekła, zamykając drzwi od sąsiedniego pokoju, mam dla ciebie trochę nowin, ale niestety są one niepomyślne. Wiem, że jesteś dzielnym chłopcem i że rozumiesz, że cokolwiek nas spotka, pochodzi z woli Boga, a z nią zgadzać się zawsze trzeba.

— O tak, ciociu, — zawołał Zygmus gorąco — ja potrafię wszystko znieść, bo wierzę, że znów kiedyś będzie nam dobrze razem, nie chciałbym tylko, aby moja mała Lucynka nie martwiła się i nie płakała; ona po ostatniej ciężkiej chorobie jest jeszcze bardzo osłabioną. Dlatego strzegę ją od wszelkich złych przypuszczeń i nie chciałbym, aby się o czemkolwiek dowiedziała.

— I słusznie robisz, Zygmuncie, ja także uważam to za najodpowiedniejsze. Za małą jest i za słabą, aby ją martwić i my starsi to co innego.

Ciocia długo jeszcze mówiła na ten temat do siostrzeńca, a w końcu opowiedziała mu treść listu. Był od jego mamy. Donosiła, że majątku ocalić nie mogą, że musieli sprzedać nie tylko dom, ale meble i wszystkie rzeczy, nawet ich kosztowne zabawki. Musieli wyjechać daleko, aby ojciec mógł zająć posadę, ale że chwilowo wyjazd odłożono, ponieważ biedny ojciec rozchorował się i leży w gorączce. Donosiła mama w końcu, że ufając w opiekę Boga, wie, że to złe minie, że z czasem będą mogli znów stworzyć kółko rodzinne, i choć skromniej jak dawniej, żyć razem. Jednakże Zygmus usłyszawszy tę nowinę, spuścił smutnie głowę i lzy zalały mu oczy! Prędko je wszakże osuszył. Gdy stanął przed siostrzyczką, nad którą rodzice polecieli mu rozciągnąć braterską opiekę, już się uśmiechał i udawał wesołość. Władzia zaraz za nim przybiegła i oboje stanęli przed smutnie siedzącą Lucynką w końcu ogrodu.

— Czemu się nie bawisz, siostrzyczko? — spytał pieszczotliwie braciszek — i dlaczego masz takie smutne oczęta. Patrzaj, słońce tak ładnie świeci, chodź, pobiegam z tobą, rozweselisz się!

— Nie Zygmuncie, nie chcę się bawić. Chciałabym pojechać do naszego domu, Zygmuncie, do taty i mamy.

— To też pojedziemy tam niedługo — uspokajał

małą dziewczynkę opiekun — będziesz znów bawiła się przy mamie swemi zabawkami.

Władzia spojrzała na Zygmunta z przekorą.

— To nieprawda — rzekła — nie pojedziecie i Lucja nie będzie bawiła się swemi zabawkami.

Dziewczynka spojrzała wystraszonemi oczami, a Zygmus widząc, że gotowa się rozplakać, nie zważając na Władzię, mówił dalej:

— Władzia żartuje tylko, droga Luciu, nie trzeba się przstraszać byle czem, trzeba umieć odróżnić żart od prawdy.

— O! ja wcale nie żartuję, mój kochany — zawołała niedobra dziewczynka z gniewem w głosie — ja mówię prawdę, a ty kłamiesz.

Chłopiec uderzyła krew do głowy! Nikt nigdy nie złapał go na kłamstwie, brzydził się tą wadą. Chciał już dumnie odpowiedzieć, ale spostrzegł, że tym razem, aby uspokoić biedną siostrzyczkę, istotnie nie mówił prawdy. Cofnął się w tył i obrona zamarła mu na ustach.

Władzia z tryumfem spojrzała mu w oczy.

— Tak — powtórzyła — właśnie, że wcale nie powrócicie do domu, bo go sprzedali, a ty, Luciu, nie wierz jemu, bo cię oszukuje. Nie będziesz się bawiła zabawkami twojemi, bo ich już nie masz; przed chwilą czytała o tem moja mama, a ja słyszałam.

Zygmus patrzył z taką niemą, a tak ogromną prośbą w oczach na gadatliwą dziewczynkę, że inna byłaby wzruszoną tem błaganiem, lecz ona, skora zawsze do wykazania wad u drugich, zaczęła dowodzić żywo:

— O, ja umiem doskonale wykorzeniać wrodzone wady, próbowałam już nie na jednym i doskonale mi się zawsze udało. Wyleczyłam z ospalstwa dawną naszą służącą Kasię. Ale jakim dowcipnym sposobem, nie odgadłbyś, choćbyś myślał rok cały. Z tobą zrobię tak samo, strzeż się więc i nie kłam więcej.

Zygmus ani słówka nie odpowiedział, na całe to kazanie nielitościwej kuzynki, lecz usiłował uspokoić biedną Lucynkę, która zalana łzami, tuliła się do brata, powtarzając bezustannie:

— Zygmuncie, drogi Zygmuncie, powiedz, czy to prawda, że nie będę już miała mojego niebieskiego pokoiku, moich lalek, zabawek? czy nie pojedziemy do rodziców, i czy my naprawdę nie mamy już mieszkania?

Biedny chłopczyzna robił co mógł, by siostrę uspokoić, lecz wszelkie wysiłki były daremne. Dziewczynka, po niedawno przebytej szkarlatynie, była ogromnie osłabioną, spłakawszy się więc, że nie chciano jej zaraz odwieźć do rodziców do Warszawy, dostała tak wielkiej gorączki, że w nocy zrywała się z łóżka i z krzykiem chciała uciekać.

Przestraszeni państwo Burzańscy, posłali natychmiast po lekarza, a ten zbadawszy dziewczynkę oznajmił, że wywiązała się ciężka choroba nerwowa, z której wtedy tylko wyjśćby mogła, gdyby jej nikt nie drażnił i nie sprzeciwiał się.

Odosobniono ją zaraz, a jedynym towarzyszem był tylko Zygmus. Jego łagodne obejście kojąco wpływało na chore nerwy siostrzyczki; on jeden umiał ją rozweselić, on jeden zabawić. Siedział też przy jej łóżeczku całymi dniami, a choć słońce nęciło go i miał ochotę po-

biegać, poskakać, pohłasować nawet, nie odszedł ani na chwilę. Wybiegał, gdy usnęła, powracał natychmiast, gdy otworzywszy oczy, pyłała:

— Gdzie mój kochany braciszek, mój opiekun?

— Jestem, jestem — wołał wesoło — pobiegłem nabrać dla ciebie kwiatków; wiem, że je lubisz, patrzaj jakie piękne. Bóg umyślnie tak pięknie je pomalował, by się podobały chorym dzieciom.

IV.

Po pewnym czasie dziewczynka wyzdrowiała, a pani Burzańska zaleciła wszystkim, nie wyłączając Władzi, aby nie wspominały jej o domu. Tylko w sercu Zygmunta tkwił cień wbitą nieostrożną ręką Władzi; nie mógł zapomnieć tych dwóch przykrości, jakie mu wyrządziła.

Władzia odtąd ani razu kuzynka nie złapała na kłamstwie, tymczasem on przeciwnie, kilka razy zastał ją podsłuchującą rozmowy innych. Uciekała, tłumaczyła się różnemi sposobami, tysiące wykrętów i wymówek znalazła zaraz na swoje usprawiedliwienie. Zygmunt jednak na chwilę teraz nie wątpił, że wszystkie wiadomości, jakie lubił roznosić, a szczególnie owa jedna z większych, która przyprowadziła Lucynkę o chorobę, były, wstyd powiedzieć, podsłuchane.

Zraziło go to do reszty do niedobrej dziewczynki, więc postanowił dać jej nauczki dla poprawy, z którą ona sama tak lubiła występować.

W domu przygotowywano niespodziankę dla obydwóch dziewczynek. Pani Burzańska, chcąc Lucynce wynagrodzić długie leżenie w łóżku, a Zygmuntowi troskliwie lecz i nudne nad nią czuwanie, postanowiła urządzić podwieczorek z tańcami i krakowskim weselem, a żeby przyjemność była tem większa, urządziła to w tajemnicy. Sprowadzono szwaczkę, a ta w zamkniętym pokoju szyła sukienki i gorseciki dla obydwóch dziewczynek.

Władzia tajemnicę prędko zbadała.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

od Rusalki dla Helenki M.

Na wprost imię żeńskie, z biblii dobrze znane,
Na wspak zwierzę dzikie, w puszczech spotykane.

ZAGADKA KRYSZTAŁOWA.

ul. Piotr S. dla brata.

1. Spółgłoska.
2. Ciało lotne.
3. Miasto nad Wartą.
4.
5. Drzewo iglaste.
6. Ptak śpiewający.
6. Spółgłoska.

Środkowy rząd liter oraz środkowe litery tworzą nazwisko słynnego zbójnika w Tatrach.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Zagadki: Litera M.

Łamigłówki kropkowanej:

— Powiedzcie proszę, matenku droga,
Jaką się drogą znajdzie do Boga?
Czy ta jest ścieżka do nieba wieczna,
Co lśni na niebie jak wstęga mleczna?
Czy jaka inna, ukryta może
Prowadzi ludzi w królestwo Boże?

— O, mój serdeczny syneczku mały!
Ten precudowny gościniec biały,
Na którym jasną, pogodną nocą,
Srebrne gwiazdeczki światłem migocą,
To tylko dla nas nauka z nieba,
Że białą, czystą duszą być trzeba.



Skrzynka do listów.

Z przykrością widzimy, że Te-Be fałszywie wytłumaczył sobie naszą ostatnią odpowiedź. Nie mieliśmy bynajmniej na myśli jakiegokolwiek nagany, a rady nasze płynęły ze szczerzej życzliwości, bo im więcej komu dane, tem więcej od niego wymagać będą. Obietnicę naszą oczywiście spełnimy chociażby nieco później, a nadal zawsze z przyjemnością zapoznawać się będziemy z próbami talentu, jakim cię Opatrzność obdarzyła; może też uznamy coś znowu odpowiedniego do druku. Skargę twą o brak zdrowia odczuwamy szczerze, bo zdrowie, to pierwszy warunek do pracy, a wraz z tem i do szczęścia. Ale czyż możemy wymagać wszelkiego dobra dla siebie, gdy jak sama słusznie powiedziałeś: „życie nasze to ciernisty, choć czarowny kwiat.” Przesyłkę, o którą zapytujesz odebraliśmy.

P. M. G. List odebraliśmy, przesyłka przyjęta, prośbę zachowamy w pamięci.

Masz słusność Anulko, że owoce, to wielce dla nas pożywny dar przyrody; pożywienie z nich nie tylko jest smaczne, ale co ważniejsze bardzo zdrowe, a ludy południa przeważnie tylko owocami się żywią. Więc gdy nam tegoroczne lato ich nie przysłało, cieszy nas, że i dla mniej zamożnych tanią i zdrową żywnością są dostępne.

Obchodzą cię żywo Edziu L. losy Andree'go, tego śmiałego napowietrznego żeglarza, który przed trzema laty, puściwszy balonem do bieguna północnego, zaginął bez wieści. Smutny los jego nie zraził wszakże innych ludzi, gotowych nieść w ofierę życie dla pozyskania nowych zdobyczy naukowych. Obecnie w Hamburgu przygotowuje się wyprawa w tamte zimne, lodowe strefy. Kapitan Bauendhal czyni do niej od lat trzech przygotowania. Chce on okrętem żaglowym dojechać do najodleglejszego, możliwego dla żeglugi punktu, a dalej popłynąć na biegunach. Załoga okrętu składa się: z kapitana, sternika i pięciu ludzi. Czyż nie należy podziwiać odwagi śmiałych podróżników, którzy nie dla przyjemności, ani chęci zysku, ale jedynie w celu naukowych, dla zbagacenia wiedzy, narażają się na takie trudności i niebezpieczeństwa.

Łamigłówki własnego układu i dobre rozwiązanie zadanych poprzednich nadesłali: Elwuk, Antoś P., Edzio S., Szarotka, Zdzisław i Urszulka, Srebrna Gwiazdka, Bracia Z. i Wierny Przyjaciel.